

WANDA CHEŁKOWSKA

Urodziłam się 17 lipca 1908 r. w Berlinie, w samym sercu Niemiec. Ojciec mój, Antoni Pałuczak, pochodził z wielodzietnej rodziny. Dziadek, Jan Pałuczak, posiadał gospodarkę rolną w Starej Świętej blisko Złotowa. W czasie Wiosny Ludów został zaciągnięty do wojska niemieckiego. Zdezercerował jednak i przedostał się do polskich powstańców, do kosynierów. W ich szeregach walczył pod Miłostawiem. Po powrocie do domu był przez Niemców poszukiwany. Przetrzęsano całe mieszkanie i obejście. Przerzucono wszystkie snopki w stodołę oprócz ostatniego. Właśnie pod nim ukrywał się dziadek. Prześadowanie rodziny nie ustawało jednak i dziadek zgłosił się sam do policji. Zamknięto go w fortecy i skazano na śmierć. Z okazji nadania konstytucji przez Fryderyka Wilhelma IV został w końcu ułaskawiony.

Kilka lat temu, gdy syn mój czytał, nie pamiętam już w jakim czasopiśmie, artykuł o Wiośnie Ludów, spotkał wśród innych wymienionych, także nazwisko swego pradziadka.

Ojciec po odbytej służbie wojskowej objął gospodarkę po szwagrze w Wielkim Buczku, w powiecie złotowskim. Później jednak przeniósł się do Berlina, gdzie pracował przez kilka lat u dr. chemii, von Boltona. Ponieważ był zdolny, ambitny i obowiązkowy, uczęszczał wieczorami na Akademię Humboldta, gdzie doskonalił się w pracy chemika. Po śmierci dr Boltona ojciec objął posadę chemika w ogromnych zakładach fabrycznych Siemens, gdzie pracował przeszło 30 lat. Dzięki sumiennej pracy zdobył sobie zaufanie i szacunek, mimo że był Polakiem z krwi i kości.

WSPOMNIENIA

Matka moja Ewa, z domu Skupień, pochodziła z Baranowa, w powiecie Kępno Wielkopolskie. Dziadek ze strony matki był małorolnym chłopem, posiadał czterohektarowe gospodarstwo.

Mama знаła wyśmienicie sztukę gotowania i szycia, była zaradna i gospodarna. Umiała wiązać koniec z końcem, mimo że pensja ojca nie była zbyt wielka.

Rodzice poznali się w Berlinie, dokąd wyjechali za chlebem. Ksiądz nie chciał im udzielić ślubu w języku polskim. Dopiero po oświadczeniu ojca, że będzie z żoną żył „na knebel”, jakoś się namyślił. Było to w 1904 roku. Nie lepiej poszło z moimi chrzciniami. Dopiero 7 maja 1909 roku niejaki ksiądz Dudek raczył mnie ochrzcić w języku polskim. Imiona dostałam królewskie: Wanda, Regina i łatwo wymowne, żeby Niemcy nie połamali sobie języków. Kaleyli przecież już okropnie nasze nazwisko. Te królewskie imiona nie zdały mi się na nic, bo w życiu szło mi raczej źle niż dobrze. Ale rodzice myśleli, że imię królewskie, jakichś dostojników lub mędrców, wpłynie poniekąd na życie, dobrobyt i inteligencję dziecka.

Moje lata dziecinne, mimo dostatku (byłam przecież jedynaczką) nie były usłane różami. Rodzice byli dalecy od tego, by spełniać moje zachcianki. Ach, jak bardzo pragnęłam mieć sanki, których jednak nigdy nie dostałam. Z wałów nad Szprewą zjeżdżałam na własnych... majtach. Co wieczór dostawałam za to lanie. Matka miała ze mną mnóstwo kłopotów. Byłam dzieckiem upartym, nerwowym, żywym i odważnym. Nie wiem sama po kim te „zalety” odziedziczyłam. Rodzice kochali mnie bardzo, lecz wychowali po spartańsku. Jestem im teraz bardzo za to wdzięczna, gdyż inaczej załamałabym się później i zginęłabym pod ciężarem przeżyć. Byli oni niezmiernie pracowici. Od wczesnego dzieciństwa uczono i mnie pracowitości i oszczędności. Matka wysłała mnie do przedszkola, aby mnie trochę ujarzmić, a głównie abym się nauczyła wreszcie języka niemieckiego. Opanowałam doskonale elementarz polski, który mi ojciec podarował i z którego mnie gorliwie uczył. W domu rozmawiano tylko po polsku, gdyż ojciec był wprost fanatykiem na tle polskości. Z naczyń kuchennych wytarł starannie wszelkie napisy w języku niemieckim. Abonował wytrwale „Dziennik Berliński”. Mimo prześladowań hitlerowskich nie wymazał kreski przy ł w nazwisku Bałuczak, na wizytówce naszych drzwi. Wychowywał mnie od najwcześniejszych już lat w duchu polskiego patriotyzmu. Matka żyła w ustawicznym strachu, żeby ojciec komuś kręków nie połamał za to, że przezywali mnie „Polacke”, lub za to, że mnie bili. Nie raz matka odprowadzała mnie do następnego rogu ulicy, aby dzieci nie znęcały się nade mną. Toteż bardzo wcześnie obudziła się we mnie obok poczucia sprawiedliwości, wojownicza żyłka – chęć do wytrwałej, w każdym wypadku zwycięskiej walki. Byłam zdrowa i silna, więc waliłam przezywających mnie „szkiebrów”, gdzie tylko popadło. Zaczęli się ze mną liczyć i dali wreszcie spokój. Ale za to zjawily się znów kłopoty. Zaczęłam chodzić do szkoły niemieckiej. W pierwszym roku szkolnym układało się wszystko pomyślnie. Gorzej było w klasie drugiej, gdzie zaczęły mi się mieszać wiadomości polskie z niemieckimi. Często używałam zamiast naszych liter, liter gotyckich. Zamiast 29 – pisałam 92, co łączy się ściśle

z wymową w języku niemieckim i za co nie raz oberwałam. To błędzenie trwało jednak niedługo. Wiem, że później zniecierpiałam naukę o „wszystkich świętych niemieckich”, jak nazywałam lekcje historii, w czym zyskałam gorącą aprobatę mamy.

W czasie wojny światowej 1914–17 urządzono w szkole zbiórkę złomu. Aby nie popaść w niełaszkę u nauczycielki, ściągnęłam z domu aluminiową łyżkę i oddałam ją w szkole. Mama jednak spostrzegła to zaraz. Poszła do szkoły i powiedziała nauczycielce, że nie chce przyczynić się do tego, by się krew lała. łyżkę przyniosła z powrotem do domu.

W okresie największej nędzy wojennej mama wyjechała ze mną na dwa lata – na wieś – do krewnych w powiecie złotowskim. Tam uczęszczałam do szkoły w Nowej Świętej. Kierownikiem i nauczycielem był wówczas niejaki Luks, zażarty Niemiec. Mieliśmy z nim zbierać różne liście na herbatę dla wojska. Wtedy mama pod groźbą, że mi skórę wygarbuje, zakazała zrywania liści. Kuzynka miała mnie przypilnować i oddać nauczycielowi list, w którym mama powiadomiła go, o zakazie. Jako nagrodę kuzynka otrzymała od mamy jedną markę na cukierki, którymi się też uraczyłam.

Mijały lata. W grudniu 1922 roku powstał w Berlinie Związek Polaków w Niemczech, zarejestrowany w rok później, którego członkami zostali także moi rodzice. Związek Polaków wydawał „Dziennik Polski”, a także miesięcznik „Polak w Niemczech”. Ponieważ Niemcy twierdzili, że w Niemczech nie ma Polaków ani innych grup mniejszościowych, mniejszość polska za wszelką cenę próbowała połączyć się z innymi grupami mniejszościowymi, aby wspólnie walczyć o swoje prawa. Tak powstał w marcu 1924 r. „Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech”. Prezesem tych dwóch organizacji został Stanisław Sierakowski. „Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech” wydawał miesięcznik „Kulturwille”, którego tytuł zmieniono później na „Kulturwehr”. Obrońcami interesów Polaków, jak i wszystkich innych mniejszości narodowych, byli Jan Baczewski, ksiądz Klimas i Stanisław Sierakowski, którzy byli zarazem posłami na sejm pruski oraz doktor ekonomii Jan Kaczmarek. Za ich staraniem powstał „Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech”, powstały polskie szkoły powszechne w Niemczech, których liczba w krótkim czasie wzrosła do 60. Otworzono także dwa gimnazja, w Bytomiu i w Kwidzynie.

Jan Baczewski, poseł polski na sejm pruski, mieszkał u nas na Schlossstrasse przez cały okres swej bytności w Berlinie. Wielu zasłużonych Polaków bywało u nas z tego powodu w domu. Dobrze znaleźmy wszystkie sprawy, dotyczące Polaków w Niemczech, ich bolączki jak i sukcesy. Często bywałam w sejmie, przysłuchiwałam się przemowom Jana Baczewskiego. To on pobudzał mnie do nauki, dawał za każdą piątkę bilet do teatru. Nie raz nadużywałam tej dobroci, pokazywałam zeszyt koleżanki.

Rodzice trzymali mnie bardzo krótko. Byłam na tyle sprytna, że umiałam sobie zarobić kieszonkowe. Ojciec zawsze mawiał: „Pieniądze leżą na bruku, trzeba je tylko umieć podnieść”. Zachęcał mnie drugim przysłowiem, że żadnej pracy w życiu wstydzić się nie powinnam, gdyż „praca nie



Ludwik Kasprzak z Dąbrówki

nańbi, lecz kształci i uszlachetnia człowieka". W niedzielę wyjeżdżałam z ojcem za Berlin, do lasu. Tam zbieraliśmy grzyby, jagody, przyłaszczki, konwalie szyszki itp. Jagody mama przerabiała na różne marynaty, soki, wino i konfitury. Grzyby, szyszki i kwiaty zanosila do hurtowni i spieniężała.

W chwilach wolnych od nauki robiłam na drutach piękne serwetki, które rozsprzedawałam między znajomymi. Miałam więc zawsze grosz na różne specjalne wydatki. Byłam i jestem rodzicom wdzięczna, że nauczyli mnie zaradności, która była mi tak pomocna w życiu.

W czasie wakacji wyjeżdżałam zawsze do krewnych w powiecie złotowskim, a także do Polski. Dwukrotnie byłam po kilka tygodni we Francji, w celu doskonalenia nauki języka francuskiego. Poznałam prawie całą Francję. Nie zapomnę nigdy gościnności Francuzów, czaru Paryża i Wersalu. Czasem migają mi jeszcze przed oczyma skrzydła Moulin Rouge, smukłe sławne tancerki w błyszczących cekinach, słyszę, jak przez sen melodie wersalskich fontann. Wspominam też wiele pięknych ogrodów, placów, parków, w których wszędzie królowały róże, róże, róże.

Po ukończeniu gimnazjum w 1929 r. rozpoczęłam w Berlinie studia farmaceutyczne. W Niemczech w tym okresie rozwijało się szkolnictwo polskie. Rozwścieczeni tym Niemcy szykanowali nauczycieli polskich, a później zwalniali niektórych nauczycieli z obywatelstwem polskim. Uległam namowom Jana Baczewskiego, rzuciłam studia farmaceutyczne i wyjechałam na jednoroczny kurs pedagogiczny do Poznania. Na kursie tym był też kolega Leon Horst, który pracuje obecnie w szkolnictwie powiatu złotowskiego. Niezmiernie miłe i życzliwe było dla nas grono profesorskie, profesorowie Kluskowski, Tylczyński, Zieliński, Baer i dyrektor dr Waga. Oglądam czasem stare fotografie i z przyjemnością snuję wspomnienia. Po uzyskaniu dyplomu zostałam w 1930 r. skierowana na praktykę do Obry w pow. wolsztyńskim, gdzie składałam przysięgę nauczycielską. Po rocznej praktyce w kraju, w r. 1931 przeszłam do dyspozycji Polskiego Towarzystwa Szkolnego w Niemczech. Jan Baczewski pozwolił mi wybrać sobie placówkę mej przyszłej pracy. Wybrałam Dąbrówkę, blisko trasy kolejowej Berlin-Poznań. Z Polską łączyły mnie przecież wspomnienia, z Berlinem – rodzice.

Nadeszła znów jesień. Srebrna przedza babiego lata snuła się po przez pola. Pociąg pośpieszny pędził z Berlina do Poznania. I oto już Pogranicze. W Neu-Bentschen przesiadłam na Meseritz-Międzyrzecz. Na pierwszej stacyjce wita mnie napis: Gross-Dammer-Dąbrówka Wielkopolska. Wsiadam. Wszędzie pola uprawiane polskim sposobem. Wszędzie drogi polne wysadzone wierzbam, lipami drzewami owocowymi, na rozstajach „Boże Męki”. Ze stacji widzę szczyt wieży kościoła i zamku. Kroczę w kierunku wioski. Spotykam ludzi mówiących po polsku.

Jak też ułoży się tutaj praca? Będzie przecież o wiele trudniejsza niż w kraju, więc odpowiedzialna. Czy podołam?

U kierownika szkoły zastałam grono nauczycielskie. Było ich trzech: kierownik Sylwester Tomiak, wzrostu średniego o bardzo miłym wyglądzie i usposobieniu. Jan Maza, młody, wysoki czarńooki, przystojny i Hewner,

nauczyciel w starszym wieku. Hewner odchodził do kraju, więc właśnie mnie skierowano na jego miejsce. Po zebraniu kolega Maza zaprowadził mnie do Tomasza Kleszki, rolnika mieszkającego przy stawie, naprzeciw zamku, gdzie miałam odtąd mieszkać.

* * *

„I nie ustaniem w walce
Siłę słuszności mamy
I mocą tej słuszności
Wytrwamy i wygramy”.

Tak brzmiało hasło Polaków w Niemczech. Dąbrowczanie nie ustawali w słusznej walce, bronili swej narodowości. Przez 138 lat byli przecież oderwani od Matki Polski, lecz nikt nawet na chwilę nie zapomniał o niej. Nikt się nie zgermanizował, bo każda matka była wzorową nauczycielką swych dzieci, które do roku 1929 musiały uczęszczać do szkoły niemieckiej. W każdym domu brzmiała polska pieśń, w każdym domu modlono się po polsku. Dąbrowczanie stawiali Niemcom odważnie czoła. Szkolna kronika niemiecka stwierdza: „W r. 1905 rozpoczęła Dąbrówka strajk szkolny, który trwał prawie przez cały rok. Ponieważ istniały tylko szkoły niemieckie rodzice chcieli wywalczyć dwie godziny nauki języka polskiego tygodniowo. Otrzymali odmowną odpowiedź. Dla ukarania rodziców za strajk, dzieci musiały uczęszczać o rok dłużej do szkoły niemieckiej.

Kuźnikami charakterów i dobrych Polaków w Niemczech były różne polskie towarzystwa, które Dąbrowczanie umieli sobie zorganizować. W r. 1905 powstało Kółko Rolnicze oraz Towarzystwo Robotników, zaś w r. 1910 utworzono Towarzystwo Młodzieży. Założono również Towarzystwo Śpiewu św. Cecylii oraz „Sokół”. W pracach organizacyjnych brał udział zasłużony ks. dziekan Józef Braun, który był proboszczem w Dąbrówce. Działał on nie tylko w samej Dąbrówce, był również współorganizatorem Banku Ludowego w Babimoście w 1912 roku. Bank ten okazywał dużą pomoc okolicznej ludności polskiej.

W roku 1919 Dąbrówka śmiało zażądała nauczania religii rzymskokatolickiej w języku ojczystym – polskim, co po różnych trudnościach osiągnięto.

Zebrania Towarzystwa Robotników odbywały się u Piotra Budycha. Do niego też dotarła najpierw wieść, że powstaje Związek Polaków w Niemczech. W r. 1923 zostaje założone koło Związku Polaków do którego, jak mówi Paweł Budyh, ludność gromadnie przystąpiła.

* * *

Niemcy, aby rozbić Polaków proponowali gospodarzom wymianę gospodarstw i przeniesienie się w głąb Niemiec. Polacy, aby wzmocnić się ekonomicznie, założyli w 1930 r. Bank Ludowy, którym kierował Tomasz



Jan Maza: kierownik szkoły w Dąbrowce

Kociołek. 25 czerwca 1939 r. hitlerowcy zlikwidowali Bank Ludowy. W dniu tym Tomasz Kociołek wraz z innymi Polakami, jak Ludwikiem Kasprzakiem, Michałem Kleszką i Franciszkiem Pawelskim zostali wysiedleni poza obręb Pogranicza. Wszyscy wyjechali do Berlina, gdzie zebrało się także wielu wygnańców z innych dzielnic. Ludwik Kasprzak mieszkał przez okres swego wygnania u rodziców, którzy pomagali nie tylko Polakom ale i Żydom, ukrywając ich przed prześladowaniami. Z wybuchem wojny Niemcy zarekwirowali Dom Związku Polaków w Berlinie przy Dorothenstrasse, w którym mieścił się także Bank Słowiański, potem Bursę na Lutherstrasse i Dom Polski na Dresdenerstrasse. Wygnańcy zostali bez środków do życia i lasce losu. 11 września 1939 r., a więc zaraz po wybuchu wojny, zaaresztowano większość z nich i osadzono w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen w Oranienburgu.

W dniu tym wcześniej rano, jeszcze o zmroku, przyszli gestapowcy do rodziców i zabrali Ludwika Kasprzaka. Następnego dnia mama poszła do Polizeipräsidentium i zażądała śmiało wyjaśnienia, gdzie przebywa zabrany przyjaciel Kasprzak. Ponieważ nie otrzymała bliższych wyjaśnień, pozostała dla niego żywność z prośbą o doręczenie.

Około połowy listopada 1939 r. Tomasz Kociołek, którego poszukiwało Gestapo wrócił potajemnie do Dąbrówki, gdzie ukrywał się w stodole swego gospodarstwa. Bardzo ciężkie było życie całej rodziny. Żona z czworgiem nieletnich dzieci obrabiała gospodarzkę rolną. Co tydzień hitlerowski bandyta, gestapowiec Brand, przeprowadzał raz lub dwa razy rewizje w mieszkaniu. W zimowe wieczory, często przebrany za kobietę, wchodził Kociołek do mieszkania, aby się rozgrzać. Jak boleśnie ścisnęło się serce żony, gdy raz, podczas bardzo silnego mrozu, niespodziewanie wcześniej wszedł do mieszkania jej mąż. Najmłodszy synek, nie znając ojca, zawołał przerażony do matki: „Boję się dziada, jaki on straszny”. Ojciec ze łzami w oczach wcisnął czapkę głębiej i wyszedł chwiejnym krokiem w ciemną, zimną noc. Dzieciom nie wolno było znać ojca, bo przy stałych męczących przesłuchiowaniach mogłyby się wygadać i przez to stracić nie tylko ojca, ale i matkę. Bardzo niebezpieczne były te „rozgrzewki” w domu, gdyż o każdej porze dnia i nocy można było wpaść w ręce hitlerowców. Ci zaś nie patyczkowali się długo. W podejrzanym wypadkach obstawiali domostwo i wyważali drzwi. Takie życie szarpało nerwy i zdrowie. Tymczasem sytuacja nie ulegała polepszeniu, rosła natomiast i to w sposób zastraszający nienawiść do Polaków. Wszyscy podtrzymywaliśmy się na dachu. Byli i tacy, którzy wiedzieli o kryjówce Kociołka między innymi i ja.

Bardzo przykra sytuacja powstała wówczas, kiedy Kociołkowa dostała pisma, które stwierdzały o jej wywłaszczeniu, konfiskacie mienia oraz wysiedleniu z Dąbrówki.

Co zrobić z mężem? Kto będzie go żywił? Przecież odnajdą go w stodole.

W ostatni wieczór o zmroku, swoi stali na straży. Udało się. Kociołek przeszedł przez ulicę do stodoły Marcina Kusiora i tam ukrywał się szczęśli-

wie do końca wojny. Pamiętam jak dziś ten wieczór. Każdy drżał o życie Kociołka i jego rodziny. Podziwialiśmy jednak bohaterstwo i odwagę Marcina Kusiora, starego, odważnego powstańca.

Podłość sługaszów hitlerowskich nie знаła granic. Nieszczęśliwej Kociołkowej zabrano na wojnę najstarszego syna. Trzymano go w wojsku do końca wojny, mimo że był ranny. Córkę zabrano do Arbeitsdienstu. Wtedy ułożyłam jej ironiczne pismo do władz Arbeitsdienstu z zapytaniem jak można do tak szlachetnej służby powołać córkę „zdrajcy”. W rezultacie wywalono ją natychmiast, a o to nam przecież tylko chodziło.

Do sprawy Kociołków dołączam odpisy pism Landrata i Regierungspräsidenta dotyczące konfiskaty mienia i wysiedlenia. Takie same dokumenty zostały doręczone wszystkim tym, którzy zostali wysiedleni z Dąbrówki. Bardzo ciekawe jest pismo Regierungspräsidenta z Frankfurtu z dnia 28 września 1942 roku, które zawiera wskazówki w sprawie konfiskaty majątku Polaków obywatelstwa niemieckiego.

Bardzo wiele przeżyła też Anna Pawelska, której mąż wrócił z obozu koncentracyjnego śmiertelnie chory i zmarł 16 lutego 1942 roku.

Los jej był więcej niż tragiczny. Starszy syn Anny Pawelskiej został przez hitlerowców zaciągnięty do wojska niemieckiego, jak wielu innych. Mimo to Anna Pawelska została wysiedlona. Hitlerowcy nie czekali nawet z wysiedleniem aż syn zostanie zwolniony z wojska, tylko zażądali brutalnie, żeby opuściła gospodarkę z dwoma nieletnimi dziećmi, z których córka Marianna miała i ma do dziś kaleką rękę. Została ona wywłaszczona z początkiem listopada 1942 roku. Wyrzucono ją przemocą i grożono obozem koncentracyjnym. Niech dołączone odpisy dokumentów mówią o tym, co hitlerowcy wyrabiali z bezbronną kobietą.

Polskie „Erbhofe” w Dąbrówce bardzo szybko zostały rozchwyte przez Niemców.

Mówiąc o Tomaszu Kociołku wspomnę również o Pawle Budychu II, starym powstańcu. Paweł Budych, zwany we wsi Budych II, urodził się w Dąbrówce 6. 6. 1896 r. jako syn małorolnego chłopca. Gdy dorastał, pomagał ojcu w gospodarstwie, później uczył się sztuki murarskiej. Przez pewien czas pracował jako listonosz, później jako murarz, a przez jakiś czas skupował nawet na własną rękę ziemniaki „bulwy”, co stało się przyczyną przezwiska „bulwiarz”. Budych nie dorobił się żadnej fortuny, ale doczekał się za to wielu przykrości.

Wcześniej zmarła mu żona. Dla swych nieletnich dzieci – Tomka i Małgosi – znalazł drugą matkę. Z tego małżeństwa doczekał się dwóch synów. Budych pracował całe lata po wojnie na swej gospodarce rolnej. Obecnie kieruje też pracą murarską na budowlach. Jest to wielki patriota i człowiek odważny. Udowodnił to kilkakrotnie po wojnie światowej w 1918 i 19 roku.

W zimowy, mroźny wieczór, gdy szalejący wicher pozrywał druty doprowadzające prąd, siedzieliśmy w przytulnej izdebce i przy ciepłym blasku piecyka opowiadał mi swe przeżycia.

Był kwiecień 1918 roku. Już dawno umilkły strzały armatnie. Wojsko wycofało się do drewnianego mostu. Zbąszyń był w rękach niemieckich. To nie mogło podobać się Polakom. Trzeba było zaradzić złu i wywalczyć cały Zbąszyń i także Dąbrowkę dla Polski. Znalazło się 14 odważnych ludzi. Kilku z Przyprostyni, Perzyn, Zbąszynia i dwóch z Dąbrowki: Paweł Budych i Marcin Kusior. Dowódcą ich został Paweł Kostyra z Perzyn, człowiek nieugięty, o prawym charakterze, mądry, odważny, gorący patriota. W życiu swym miał tylko jeden cel – służyć Ojczyźnie do ostatniej kropli krwi.

Paweł Kostyra utrzymywał tajne kontakty z wojskiem polskim w Poznaniu, które miało w wyznaczoną noc przybyć z pomocą do Zbąszynia. Niewiadomo jednak z jakich powodów wojsko nie przybyło w umówionym czasie. Powstańcy musieli sobie sami radzić. Wszyscy posiadali broń. Żołnierzy niemieckich, którzy pełnili obowiązki straży granicznej, wypędzono aż do mączkarni. Tam na przeciw siebie stanęły straż polskie i niemieckie. Po kilku dniach ciszy Paweł Kostyra wysłał swego zaufanego Piotra Pawelskiego, który mieszkał z Zbąszyniu i wyznaczył im nowe spotkanie koło dworca zbąszyńskiego blisko bariery, celem podjęcia dalszej walki z Niemcami. Bardzo trudno było przedostać się przez las, który pilnowała niemiecka straż graniczna. Powstańcy nie zdążyli się jeszcze przygotować do ataku, gdy doniesiono, że z kierunku Klastawy idą uzbrojeni Niemcy – cywile. Niedługo potem rzeczywiście wyłoniły się z ciemności uzbrojone postacie. Na ich czele szedł nauczyciel niemiecki Szelak – oficer wojska niemieckiego, który pracował kiedyś w Dąbrowce. Chłopcy w tamtych czasach splatali mu niejednego figla za to, że bardzo szkodził Polakom. Pierwszy celny strzał z ręki Kostyry położył trupem Szelaka, gdy nagle nadjechały ciężarówki z wojskiem niemieckim. Powstańcy, którzy byli rozstawieni aż pod cegielnię, dali ognia. Wojsko niemieckie, wystraszone nagłym, silnym atakiem, wiało czym prędzej z powrotem w kierunku Dąbrowki. Polska straż graniczna przeprowadziła powstańców dąbrowieckich przez granicę. Chyłkiem, idąc przez lasy, zagajniki, bagna, łąki i pola dostali się do wioski.

Paweł Budych mieszkał wówczas z rodziną u Marcina Kusiora. Zmęczeni usiedli oboje w ciemnej kuchni. Budych zmartwił się trochę, gdyż podczas walki zgubił czapkę. Obawiał się, że ktoś ją znajdzie i pozna. Na szczęście znalazła się druga taka sama. Rozmyślenia przerwał nagle jakiś hałas na ulicy. Okazało się, że niemieccy żołnierze, którzy kwaterowali w sali u Stanisława Weissa zbuntowali się i rzucali broń. Wojna się przecież dawno skończyła, nie mieli więc ochoty więcej się narażać i uciekali. Dochodziło dalsze wojsko z „Depot” położonego w lesie za Dąbrowką, gdzie były magazyny amunicji. O zasadzce nie było już mowy. Wiadomość podano natychmiast do Pawła Kostyry w Perzynach.

Pomimo, że nie przechwycono żadnego powstańca z Dąbrowki, podejrzewano jednak ludność o branie udziału w powstaniu. Ogłoszono więc stan wyjątkowy. Po godzinie 17 nie wolno było nikomu wychodzić z domu. Po 4 tygodniach wojsko niemieckie opuściło Dąbrowkę, uzbrajając na wszelki wypadek cywilów w Rogozińcu. Krótco po tym Niemcy odbyli tajne zebranie w sprawie ustalenia granicy w sali Niemca Brescha w Rogozińcu. Paweł Budych, jako listonosz, dowiedział się o tym zebraniu. Jego brat, Piotr, przygotował dwa plakaty: Białe orły na czerwonym tle umieścili oni,

wysoko na rusztowaniu akurat na przeciw wejścia na salę. Sami ukryli się w ciemnej „gasce” opodal, obserwując co się będzie działo. Duża lampa oświetlała majestatyczne orły, które zdawały się kpić z wychodzących z zebrania Niemców. Zauważono je też od razu. Powstał wielki hałas i krzyk. „Die Polen sind schon hier”: Wszyscy wiali co tylko sił w nogach do swych domów. Obaj bracia przesunęli się tymczasem w pobliże kaliska-stawku, za starym chlebnym piecem. Po chwili do stawku przybiegali licznie Niemcy i wrzucali coś do wody. Była to amunicja i karabiny, które ze strachu przed Polakami wrzucali do wody. Zadowoleni z uzyskanego efektu Budyhowie czmychnęli do lasu i wrócili do Dąbrówki.

Na drugi dzień roznoszącemu listy i gazety Budyhowi zwierzył się stary Niemiec Stiller w Rogozińcu: „Heute Nacht sind polnische Adler über Rogsen geflogen”. Niemcy wyznaczili wysoką nagrodę za schwytanie tego, który zawiesił w Rogozińcu orły. Nikt jej nie dostał, bo nic się nie wydało. Mniej więcej po tygodniu toczyła się walka o Nową Wieś. Atakowało wojsko niemieckie, przysłane z Frankfurtu nad Odrą, biła niemiecka artyleria. Z Rogozińca przywieziono uzbrojonych cywilów, aby walczyli z Polakami.

Niedługo potem przybyła do Przyprostyni komisja, aby ustalić granicę polsko-niemiecką. Paweł Budyh, dowiedziawszy się o tym zwołał tajne zebranie. Wybrano 7 przedstawicieli z Dąbrówki: Pawła Budycha, Marcina Kusiora, Marcina Kociołka, Jana Ruciocha, Józefa Gołka, Tomasza Kleszkę i Jana Bimka, którzy mieli udać się do Przyprostyni, by przedstawić tam sprawę przyłączenia Dąbrówki do Polski. W ciemną noc, poprzez zagajniki, oczekiwani i przeprowadzeni przez polską straż graniczną poszli do Przyprostyni.

Do komisji międzynarodowej należeli m. in. z polskiej strony – hrabia Mielżyński z Chobienic, ze strony angielskiej – Andrzejewski, ze strony niemieckiej – Hauptman von Britzke, właściciel zamku i majątku w Dąbrówce – von Kliting z Nowej Wsi, von Gersdorf z Bukowca i właściciel majątku z Pszczewa. Delegaci z Dąbrówki rozmawiali z Anglikiem Andrzejewskim, który im przyrzekł, że Dąbrówka będzie należeć do Polski; granicą będzie Zgniła Obra, która płynie poprzez łąki dąbrowszczan. Andrzejewski zapowiedział im też, że za kilka dni będzie u ks. dziekana Brauna w Dąbrówce.

Droga powrotna była bardzo uciążliwa. Granica niemiecka była pilnie strzeżona, nawet konno. Posterunek polski obserwował Niemców i w odpowiednim momencie, a było już szaro, dąbrowszczanie ruszyli grupami przez granicę. Teraz ciągnęli razem do Franciszka Nykla, gdzie umówili się na kolację.

Ksiądz Braun zmobilizował całą wioskę. Wszyscy ubrali się odświętnie w dąbrowieckie stroje. Z polskimi chorągwiemi witali komisję, chcąc pokazać, że ludność Dąbrówki jest czysto polska, aby tym pewniej uzyskać przyłączenie do Polski. Niestety stało się inaczej. Ziemianie niemieccy byli silniejsi, bogatsi, umieli przepłacić i przekupić sprawę. Dąbrówkę odcięto od Macierzy.

Krew ojca miał w żyłach syn Pawła Budyha – Tomasz. 14 dni przed wybuchem wojny w 1939 r. 19-letni Tomasz Budyh ze swym przyjacielem Stanisławem Kędziorą przeszli nielegalnie granicę, aby zgłosić się do wojska polskiego i walczyć przeciw hitleryzmowi. Przychwycono ich później i zasądono za zdradę stanu na karę śmierci. Tomasz Budyh umarł z wycieńczenia miesiąc przed straceniem. Michałowi Kędziorze zaś, jako jedyna pamiątka po synu pozostała, przesłana z więzienia zbroczona krwią odzież.



Dekoracja Wandy Chełkowskiej Złotym Krzyżem Zasługi na obchodzie 30-lecia Szkolnictwa Polskiego, w Nowym Kramsku dnia 14. 6. 1959 r.

Paweł Budyh został aresztowany na miesiąc przed wkroczeniem wojsk hitlerowskich do Polski za zdradę stanu (Landes – und Hochverrat). Siedział on 1 i 3/4 roku w więzieniach w Swiebodzinie, Frankfurcie nad

Odrą i Berlinie. Sprawa sądowa odbyła się w Pile. Z powodu braku dowodów zasądzono go na 1/2 roku więzienia, zaliczając czas przetrzymania. Po zwolnieniu, przy przechodzeniu przez główną bramę więzienia, Paweł Budych został ponownie aresztowany. Przechodził znów z więzienia do więzienia. Później przebywał w obozie karnym w Wulheide, wreszcie osadzono go w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie pozostał do końca wojny. W całości przesiedział 5 i 3/4 roku.

Dąbrówka była ostoją polskości w powiecie międzyrzeckim. Jak żadna inna wieś umiała ona przed wojną, w czasie wojny, i po wojnie utrzymać swoją kapelę, tańce, pieśni i piękne stroje regionalne. Dąbrowczanie nie zgermanizowali się, choć otoczono ich kordonem „siedlerów”. Po wojnie pierwsza wysłała delegację do Kuratorium w Poznaniu z prośbą o uruchomienie szkół polskich, pierwsza też otworzyła szkołę. Tutaj zawiązało się najwcześniej życie społeczno-polityczne. Pierwszy starosta Pogranicza urzędował w Dąbrówce, dopiero później przeniesiono starostwo do Międzyrzecza. Pierwszym wójtem został Ludwik Kasprzak. Już w pierwszych dożynkach lubuskich, które miały miejsce w Gorzowie w 1945 r. Dąbrówka brała udział ze swym zespołem regionalnym. Później tutejszy zespół regionalny zdobywał liczne nagrody na występach, festiwalach i eliminacjach.

Mało wspomina się o człowieku, który był duszą całego polskiego życia kulturalnego wsi, a niestety nie doczekał się powrotu naszych przastarych ziem do Macierzy. Człowiekiem tym był niezapomniany przez ludność Dąbrówki Jan Budych IV – „prezes”, jak go krótko nazywano. Jan Budych, człowiek o bystrym umyśle, skromny i mało wymagający dla siebie, od młodych lat pracował nad utrzymaniem polskości tych ziem, marzył i wierzył, że sprawiedliwości stanie się zadość, że Polska będzie wolna. Kiedy niefortunna granica z 1919 roku odcięła Dąbrówkę od Polski, nie stracił on wiary, iż wróci ona kiedyś na łono Ojczyzny. Za naczelne zadanie uważał zapobieganie wynarodowieniu. Z grupą światlejszych obywateli zabiegał u władz niemieckich o naukę języka polskiego dla dzieci w szkole niemieckiej. Po długich staraniach władze zgodziły się na nauczanie języka polskiego w wymiarze jednej godziny tygodniowo. Ale nie tylko dzieci trzeba było uczyć języka polskiego. Należało też pamiętać i o starszych. Budych zorganizował w 1923 r. w Dąbrówce komórkę naczelnej organizacji polskiej na terenie Niemiec, jaką był Związek Polaków. Werbował do niej członków i był prezesem oddziału aż do roku 1939, to jest do rozwiązania organizacji przez Niemców. Świadczy to o wielkim zaufaniu, jakim darzyła ludność Dąbrówki Budycha, wybierając go co roku na swego prezesa. Największą aktywność wykazywał Budych w 1929 r., kiedy władze niemieckie zezwoliły na uruchomienie prywatnych szkół polskich z polskim językiem nauczania. I w Dąbrówce miała powstać szkoła, ale nielatwa była praca przy jej organizowaniu. Władze niemieckie z jednej strony zezwalały na otwarcie szkoły, z drugiej starały się uniemożliwić jej otwarcie odmawiając budynku szkolnego. Prezes Budych uporał się jednak i z tą trudnością. Dzięki przychylniej postawie miejscowych gospodarzy uzyskał izby na klasy szkolne u Błocha, Kostyry i Wieczorka. Druga ciężka praca, to zapisy dzieci do szkoły polskiej. Prezes Budych nikogo nie

nakłaniał do zapisania dziecka do szkoły, ale odwołał się do honoru narodowego. Mówił prosto: „Kto jest Polakiem, to wie, do której szkoły pośle swoje dziecko”. I nie zawiódł się Budydych na mieszkańcach Dąbrówki. Do szkoły polskiej zapisano 140 dzieci. W dniu 10 czerwca 1929 r. otwarto w Dąbrówce jedną z pierwszych szkół polskich na terenie Niemiec. Jest w tym niewątpliwie wielką zasługą Budydycha. W dowód zaufania społeczeństwo wybrało Jana Budydycha na przewodniczącego komitetu rodzicielskiego.

Jako prezes Związku Polaków interesował się Budydych przysposobieniem rolniczym, zorganizowaniem kursu gotowania dla dziewcząt, działalnością koła śpiewaczego i orkiestry. Położył też zasługi przy założeniu i rozwoju Banku Ludowego w Dąbrówce, w którym przez cały czas był przewodniczącym rady nadzorczej. Wkład pracy Jana Budydycha doceniały najwyższe władze Związku Polaków w Niemczech i powołały go na członka Rady Naczelnej. Wyróżniono go też dyplomami i odznaczeniami. Członkiem Rady Naczelnej był Budydych aż do wybuchu wojny.

Kiedy rozpoczęła się wojna, Jan Budydych, liczący 55 lat, dostał się wraz z innymi do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen koło Oranienburga. Ale i tutaj nie załamał się, a przeciwnie, umiał podnieść na duchu tych którzy wątpili w odzyskanie wolności. Nie załamała go również wieść o wysiedleniu rodziny, miał na tyle hartu, że napisał do żony i dzieci słowa pocieszenia: „I dla nas jeszcze kiedyś słońce zaświeci”. Tam w obozie nie tracił nic ze swych dobrych cech charakteru. Dzielił się chlebem, a nawet jedynym papierosem. Dopiero pod koniec wojny, w marcu 1945 r. został wywieziony do Bergen-Belsen, gdzie zaginął po nim wszelki ślad.

Tych kilka słów nie wyczerpuje w zupełności zasług Jana Budydycha. Dowodem i dowład ich wielkości niech będzie fakt, że tuż po wojnie, w roku 1946, Polska Ludowa odznaczyła go pośmiertnie Złotym Krzyżem Zasługi.

* * *

Cofnijmy się znów myślą wstecz do czasu, kiedy dąbrowczanie tworzyli jedną wielką rodzinę. Żadna z innych polskich wiosek nie była tak silna i zwarta. Rodzice opiekowali się dziećmi bardzo troskliwie. Młodzież łączyła się z sobą, żeniono się w wiosce, aby się nie germanizować. O sytuacji w szkole kronika pisze: „Szkolą rodzice opiekowali się i dbali o nią jak o własną posiadłość. Dzieci uczyły się w 3 skromnych izbach, ale z większą dumą chodziły do szkoły jak dzieci niemieckie, którym wybudowano piękną, nową szkołę. Bank Ludowy zakupił także ziemię na plac pod budowę szkoły. Zbierano pieniądze, gospodarze dali z własnych lasów drzewo na budowę. Wszystko było przygotowane, tylko władze niemieckie nie dały zezwolenia na budowę.

Aby zgermanizować Dąbrówkę, Niemcy sprowadzili wybitnie wrogo usposobione do polskości rodziny niemieckie, którym nadano piękne gospodarstwa. Rozparcelowano majątek Britzkego, osadnikom wybudowano

nowe domy, powstał niemiecki „Siedlung”. Otoczono więc Dąbrówkę kordonem niemieczyny. Jednak nie zdołano znieść samej „ambasady polskości”.

„Trudna była praca dla tych, którym powierzono w owych czasach niewoli misję kultywowania ducha polskiego wśród robotników i chłopów polskich”. Tak pisała niegdyś jedna z polskich gazet i dalej nadmieniała: „Jest wzruszające, że ludzie idą na obce ziemie, ale do swoich braci. Idą, by służyć pomocą, by dawać im polskie słowo, jak wtedy, zda się, w tak odległych latach”. A Edmund Osmańczyk pisał między innymi: „Z trudem zdobyte słowo polskie stało się ogromnie wartościowym. Zrozumieliśmy, że za każde słowo wypowiedziane przyjmujemy na siebie odpowiedzialność”.

Mnie, młodej dziewczynie, powierzono właśnie taką pracę, odpowiedzialną, zaszczytną. Ani chwili nie zapomniałam o swych obowiązkach wobec ojczyzny i ludu polskiego. Każdy z nauczycieli pracował więcej jak ze stuprocentowymi wynikami.

Kierownik Tomiak przekazał mi całą Grundschule, to znaczy klasy od pierwszej do czwartej. Praca była trudna, gdyż łączyłam klasę pierwszą z drugą, a trzecią z czwartą. Rezydencją moją była klasa w budynku Wiktora Błocha. W porównaniu do dzisiejszych klas była mała, lecz jakże miła. Na trzech lśniących czystością oknach wisiały śnieżno-białe firanki. Na parapetach stały doniczki z pelargoniami, które kwitły w różnych kolorach. Szafa była zrobiona zręcznie we wgłębieniu drzwi. Stół stał na podwyższeniu, tablica była duża, ławki bardzo długie, trochę niewygodne. To było moje królestwo. Klasę ozdobiłam dużymi, kolorowymi rysunkami i zdjęciami, które często zmieniałam i które wzbudzały zachwyt nie tylko naszego wizytatora Mozelewskiego, lecz nawet ponurego inspektora niemieckiego Quassa, który nawiasem mówiąc, wizytując nas trochę za dużo, nie tylko badał wyniki nauczania, lecz szperał bardzo starannie po wszystkich kątach, w szafie, w szufladach i nawet w teczkach dzieci. Często przyprowadzał z sobą inspektora z innego terenu, widocznie zgermanizowanego Polaka, gdyż znał on język polski. Zapomniałam jego nazwiska. Wściekali się, gdy wyniki nauczania były dobre. Nigdy nie pochwalili. Dopiero, gdy byłam już mężatką i nie uczyłam, dowiedziałam się przypadkowo od nauczyciela niemieckiej szkoły p. Stachowicza, że inspektorzy bardzo chwalili mnie i według ich zdania byłam jedną z najlepszych młodych sił nauczycielskich naszego terenu. Nie mówię tego, aby się chwalić, tylko dlatego, aby pokazać stosunek niemieckich władz zwierzchnich do polskich nauczycieli. Nie pochwalili oni, aby czasem polski nauczyciel, zachęcony uznaniem, nie pracował, broń Boże, jeszcze wydatniej.

Oprócz religii, języka polskiego, matematyki, przyrody, historii, rysunków, prac ręcznych, uczyliśmy także trzy godziny w tygodniu języka niemieckiego. Niemcom zależało na tym, aby dzieci nasze władały jak najgorzej językiem niemieckim, a nam zależało na tym, żeby dziecko opłanoło język polski i również niemiecki. Dostateczna znajomość języka niemieckiego dawała dziecku swobodę poruszania się i była dla niego

kluczem do dalszego zdobywania wiedzy, dokształcania się, później zarobkowania. Na lekcjach języka polskiego opowiadaliśmy treść czytanki nie tylko po polsku, lecz także po niemiecku, co było niezmiernie trudne, gdyż dzieci mówiły w domu tylko językiem ojczystym i nie znały zupełnie języka niemieckiego. Nie wolno było tak uczyć, lecz dzieci zrozumiały naszą intencję, były przecież odpowiednio pouczone i nastawione. Najmniejszy szelest na korytarzu, a wszystkie dzieci natychmiast przestawiały się na przedmiot obowiązujący według planu.

Nasza praca nie kończyła się na zajęciach w szkole, jak to bywa teraz. Rozpoczynała się ona rano i trwała do późnej nocy. Często pracowaliśmy także w niedzielę. Po obiedzie. trzeba się było starannie przygotować do lekcji w dniu następnym. Oprócz tego nauczycielstwo wykonywało mnóstwo innych zadań i to zupełnie bezinteresownie. Pracowaliśmy w bibliotece, kierowaliśmy pracą młodzieży pozaszkolnej, mieliśmy różne wykłady, obsługiwaliśmy zebrania rodzicielskie, każdą akademię. Pisaliśmy regularnie sprawozdania i artykuły do gazet i czasopism polskich. Niektóre gazety z artykułami sprzed 26 laty szczęśliwym trafem dochowały się do dziś. Poniżej załączam odpis jednego z artykułów, który został zamieszczony w dodatku do „Gazety Olsztyńskiej” zatytułowanym „Głos Pogranicza i Kaszub” z dnia 16 grudnia 1932 r. (nr 51 rok IV).

ZEBRANIE RODZIELSKIE W WIELKIEJ DĄBRÓWCE

„W niedzielę 27 listopada br. po obiedzie o godz. 5-tej odbyło się na sali p. Weissa zebranie rodzicielskie. Zebranie trwało do godz. 8-mej, więc pełne trzy godziny. Ale mimo to na pewno nikt się nie nudził. Było nam wszystkim tak bardzo miło razem, że każdyby pewnie chętnie jeszcze raz tak długo siedział, przysłuchiwał i przyglądał się cudom, które nasza kochana działka z pomocą swych troskliwych wychowawców przygotowała. No w każdym wypadku było tam bardzo ładnie; tak mi się wszystko podobało, że nie wiem wcale z którego końca mam rozpocząć swe opowiadanie. Było tego wszystkiego tak dużo, że mi się już połowa zapomniała, ale pomimo to postaram się o odtworzenie obrazu naszego wieczorku.

Nasz godny prezes p. J. Budyh IV przywitał serdecznymi słowami wszystkich zebranych na sali, a mówię wam, że było ich tak okropnie dużo, tak dużo, że się drzwi nie chciały dobrze zamknąć. No a teraz do tych cudów. Chór szkolny przywitał obecnych swoim wesołym „Bumcig” i nasze najmniejsze pociechy rozpoczęły, a nasze wielkie pociechy dokończyły.

Po dwóch wierszach o jesieni, które wygłosiło dwóch małych chłopczyków, kurtyna rozchyliła się po raz trzeci i ujrzano na scenie chłopczyka, przedstawiającego główkę pulchnej, zieloniutkiej kapusty, a drugiego, przedstawiającego potężną beczkę. Wesoły dialog beczki z kapustą nas wszystkich zabawiał. Nastąpiła mała sztuczka pt. „Literki”. To nasze najmniejsze dziewczynki i chłopczyki siedzą na długiej ławie. Wielkie wstążki stroją ubrania i główki. Mała zgrabna dziewczynka trzyma książkę w ręce, marzy i opowiada dzieciom o literkach, które po chwili się naprawdę zjawiają; jedna po drugiej. Mali chłopcy przedstawiający litery: i, o, u, a, e wchodzą kłaniając się i rozmawiają z dziećmi. Bardzo się ta sztuczka wszystkim podobała. Nastąpiło znów parę wierszyków

i mała sztuczka „Wesoła trójka”, w której występują trzy małe dziewczynki, przystrojone za mydelko, grzebyk i miotłkę. I ta sztuczka się wszystkim podobała. Wiersz zakończył przedstawienie malców.

No a teraz ci wielcy się popisowali. Odegrano dość długą sztukę „Zaczarowany flet”. Niedobra, złośliwa macocha wywozi dziewczynkę do lasu i tam ją pozostawia, aby się dziecka na zawsze pozbyć. Biedactwo przeleknione woła, modli się, a wreszcie słodko zasypia. Przy marzącym świetle księżycy schodzą się ze wszystkich stron lasu prześliczne małe boginie, śpiewają i tańczą dookoła śpiącej dziewczynki. Rychło rano po zmówieniu paciorka, napotyka dziewczę staruszkę leśną-wrózkę. Sierota przebywa cały rok u staruszki, która daje jej na pamiątkę zaczarowany flet. Ów flet ma przedziwną moc. Wesołe jego tony uzdrawiają z każdej choroby, a gdy fujarka oddaje tony podobne do wycia psa, to zły człowiek wypowiada natychmiast sam swoje winy i grzechy. Za pomocą fletu sierotka uzdrawia cierpiącego na melancholię królewicza, który z wdzięczności ofiarowuje jej swe serce i ją poślubia. Nieżyczliwa macocha i jej córka wyznają przy jękliwych tonach fletu swe ogromne przewinienie, które im jednak szlachetna sierotka daruje. Wszyscy cieszyliśmy się mocno, że spotkało biedne, ale dobre dziecko takie szczęście. Ale to tylko bardzo dobre i bardzo szlachetne sierotki mają takie wielkie szczęście.

Po odśpiewaniu piosenki „Sierotka” wygłoszono wierszyk „Słonko”. W końcu nastąpiły inscenizacje pięknego wiersza „Powrót taty”, bajek „Paweł i Gawel” i „Wyścigi jeża z zającem”. W inscenizacji „Powrót taty” wzruszyło nas bardzo szlachetne serce zbója, które przy gorących modłach dzieci o swego drogiego ojca, się zbudziło i które zdołało nawrócić do dobrego, całą zgrają zbójów.



Szkoła w Dąbrówce

Bardzo śmieszne były wyścigi pomiędzy jeżem i zającem. No i wiecie wylazł tam na scenę prawdziwy zając, miał uszy i ogon, tylko był troszkę wielki, inaczej to byśmy się też omylili. Żebyście mogli słyszeć jak ten pan jeż na swoją babę wrzeszczał. Strach nas ogarnął. Z ostatnich dwóch bajek nauczyliśmy się, że nie powinno się nikogo krzywdzić. Tak samo nie mamy się wynosić ponad naszą wartość, nie mamy się w ogóle chwalić, bo na tym źle wyjdziemy.

Podczas przerw bawiła nas nasza wyśmienita orkiestra dąbrowiecka. Po przedstawieniu p. prezes Budych IV przemówił jeszcze raz kilka miłych słów i wszyscy rozeszliśmy się wracając pokrzepieni do naszych chat. Muszę wam jeszcze raz powiedzieć, że było bardzo ładnie. Siedzielibyśmy jeszcze godzinami, no ale trudno, wszystko dobre się kończy. Pociaszamy się jednak tą myślą, że wnet i to na gwiazdkę znów się wszyscy zobaczymy, co? A tymczasem do widzenia.

Każda zabawa letnia było uwieńczona tańcami, śpiewami i innymi występami artystycznymi naszych dzieci. Nauczyciel sporządzał wspólnie z dziećmi wszystkie stroje lub kierował ich wykonaniem. Praca uświadamiająca wśród młodzieży dorosłej i starszego społeczeństwa zabierała nam sporo czasu. Utrudniało ją także nieustanne śledzenie nas przez renegatów i gestapowców. Częste przesiedlenia nauczycieli i utrata praw nauczania sprawiły, że od czerwca 1929 do 1 września 1939 r. uczyło w Dąbrowce aż 18 nauczycieli. Chcę tu wspomnieć o jednym z najbardziej lubianych i zasłużonych nauczycieli, jakim było kolega Maza, który pracował przez kilka lat w Dąbrowce.

Prowadził orkiestrę dętą, która utrzymała się do dziś. Ożenił się z Janiną Kowalską, siostrą Bogdana Kowalskiego, nauczyciela w Starym Krańsku. Ślub Janiny Kowalskiej odbył się w Dąbrowce. Później kol. Maza przeniesiony został na Warmię, skąd hitlerowcy uprowadzili go do obozu koncentracyjnego i zamordowali. Pozostała jego żona i dwoje małych dzieci. Ostatnio pracowała ona jako nauczycielka w Złotowie, w woj. korszalińskim.

Mego męża poznałam w Dąbrowce. I znów trzeba było poświęcić się dla sprawy. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech nie chciał się absolutnie zgodzić na moje zamążpójście, gdyż jako mężatka utraciłabym od razu prawo nauczania. Aby przeszkodzić moim małżeńskim zamiarom, przeniesiono mnie do Wielkiego Buczka, w powiecie złotowskim. Z ciężkim sercem opuściłam Dąbrowkę, którą pokochałam. Pewnego poranka trzeba było się jednak pożegnać i wyjechać. Było to wiosną 1933 roku. Zajechałam do Lipki, w powiecie złotowskim. Ze stacji zawieziono mnie powózką do Wielkiego Buczka.

Mała ta, lecz czysto polska wioska, liczyła wtedy niecałe 500 mieszkańców. Zachwycało mnie cudowne jej położenie. Część wioski leżała w dolinie, część na pagórku, otoczona polami i bujnymi łąkami, przez które wiała się srebrzysta rzeczka. Było w niej dużo raków, a woda zimna jak lód. Dalej ciągnęły się ogromne lasy, w których rosły jałowce wysokie jak sosny, a w dolinach świeciły wieczorami miliony świetlików. Kryła się tu wszelkiego rodzaju zwierzyna leśna, a przede wszystkim jelenie, nawet

białe. W księżycowe jesienne noce słychać było ryk. Za lasami były jeziora. W ich sitowiu i trzcinie straszły nocą dzikie kaczkę i kurki wodne. Pokochałam szczerze tę cichą, maleńką wioskę.

Mili i serdeczni byli tu także ludzie, że wspomnę rodzinę Czarnotów, Lachów, Boninów i bardzo wiele innych, których nazwisk już nie pamiętam. Szybko zdobyłam sobie serca młodzieży szkolnej jak i pozaszkolnej. Założyłam świetlicę. Praca była bardzo wdzięczna, jak w małym której polskiej placówce. Zimowe wieczory spędzaliśmy w świetlicy, gdzie czytano książki, wykonywano ręczne roboty, śpiewano nasze polskie piosenki, przygotowywano amatorskie przedstawienia. Latem młodzież, nie wykluczając dziewczynek, zajmowała się sportem. Robiliśmy piękne majówki, pieszo lub rowerami, jeździliśmy łodziami na jeziorze koło Stołunia. W naszej pracy pomagał nam ksiądz proboszcz Sobierajczyk. Z początkiem wojny został zaarrestowany i osadzony w obozie koncentracyjnym, w którym zginął.

Nauczycieli było trzech. Praca nie różniła się wiele od pracy w Dąbrowce. Z płaczem żegnały mnie dzieci, gdy po półtorarocznej pracy przeniosłam się do Berlina. Długo otrzymywałam od nich całe pliki listów.

Dla dokładnego zobrazowania stanu polskiego prywatnego szkolnictwa w powiecie złotowskim, podaję spis według stanu z października 1933 r. z uwzględnieniem ilości nauczycieli, klas i dzieci.

Miejscowość	Ilość nauczycieli	Ilość klas	Ilość dzieci
Blenkwid	1	1	31
Buczek Wielki	3	3	90
Buntowo	1	1	25
Drożyska Wielkie	1	1	7
Głomsk	2	3	56
Głubczyn	1	1	19
Kleszczyna	1	1	24
Królewska Wieś	1	1	25
Nowa Święta	1	1	21
Osówka	1	1	21
Podróża	1	1	42
Radawnica	1	1	32
Rudnica	1	1	28
Sławianowo	1	1	18
Stawnica	1	1	37
Szkic	2	3	62
Święta	2	2	40

Wspomnienia

Wersk	1	1	12
Wiśniewka	2	3	58
Zakrzewo	4	5	146
Złotów	2	3	47
Złotów-Błoto	1	1	23
Razem:	32	37	864
<i>W powiecie Międzyrzecz:</i>			
Dąbrówka Wielka	3	3	140
<i>a w powiecie Babimost:</i>			
Nowe Kramsko	3	3	104
Stare Kramsko	1	1	14
Podmokle Małe	2	2	61
Podmokle Wielkie	1	1	32
Razem:	7	7	211

Ogółem na Pograniczu było 42 nauczycieli, 48 klas i 1215 dzieci.

W Berlinie pracowałam od 1. 7. 1934 do grudnia 1935 roku. Uczyłam na Charlottenburg-Goethestr., na Kranststr i na Alt-Moabit. Były to kursy poobiednie. Frekwencja na nich była różna, co bardzo utrudniało pracę. Kierował nami kolega Golisz, którego hitlerowcy zamknęli w fortecy Tegel obok Berlina, skąd już nie wrócił. Prawdopodobnie został rozstrzelany. Prócz obowiązujących przedmiotów czytaliśmy z dziećmi przedstawienia. Dzieci występowały na licznych zebraniach rodzicielskich, akademiach i wieczorkach. Nauczyciel pracował tam całą duszą i sercem, nie szczędząc wysiłku.

Oprócz pracy z młodzieżą szkolną dużo czasu zajmowała nam praca z młodzieżą pozaszkolną, która uczęszczała także na kursy języka polskiego. Prowadziłam kurs dla początkujących, a kolega Feliks Straszyński dla zaawansowanych. Kursy odbywały się w Domu Polskim na Dresdenstr. Z młodzieżą żeńską zaś, uprawialiśmy gimnastykę, gry i zabawy sportowe i towarzyskie, uczyliśmy szycia i prac ręcznych. Wymienione zajęcia wypełniały nam czas po obiedzie, wieczory i niedziele. Przed obiadem pracowałam w biurze Związku Polaków na Dorothenstr. i to w różnych dziedzinach, najdłużej w redakcji „Dziennika Berlińskiego”. Tam poznałam Edmunda Osmańczyka, naszego wybitnego redaktora i publicystę, sekretarkę Związku Polaków w Niemczech, Eleonorę Bednarkiewicz, dziś Stejakowską, rodem z Nowego Kramska, Helę Lerównę i wielu innych działaczy. Często wołano nas do konsulatu lub ambasady i udzielano ważnych wskazówek lub ostrzeżeń.

Pracując w szkolnictwie polskim w Niemczech zetknęłam się z wieloma zasłużonymi działaczami polskimi. Poznałam Marię Zientarównę, obecnie Malewską, poetkę Warmii i Mazur. Pracowała w Berlinie, na Złotow-

szczyźnie i w Nowym Kramsku. Za pracę swą została aresztowana i wywieziona do obozu koncentracyjnego, skąd wróciła z nadszarpniętym zdrowiem. Już od młodszych lat pisała ona wiersze, mimo, że była zawsze bardzo zajęta pracą dla ludu. Po wojnie była wizytatorką przedszkoli w Olsztynie. Obecnie pisze dużo i recytuje swe piękne wiersze na spotkaniach autorskich. W pracy na ziemi złotowskiej wybił się Izydor Maćkiewicz, kierownik dzielnicy V Związku Polaków w Niemczech, organizator życia polskiego na Pograniczu. Za swą pracę został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i dziś otrzymuje rentę dla zasłużonych jak i inni działacze Ziemi Złotowskiej oraz Warmii i Mazur. W Podmoklach działali nauczyciele Knak, Żurawski i Grot. Ostatni zamęczony został w obozie koncentracyjnym, a Knak pracuje w Pszczewie. W obozie zginął też nauczyciel Sarnowski z Podmokli. W Starym Kramsku przez dwa lata przed wojną był nauczycielem Bogdan Kowalski, który teraz znów tam pracuje jako kierownik szkoły. Za swą dzielną postawę został z innymi osadzony w obozie koncentracyjnym. W Nowym Kramsku poza Marią Zientarówną uczyli w szkole Henryk Jaroszyk, Jadwiga Kapałówna, Roman Jaskulski oraz bardzo znany i szanowany kierownik Władysław Sroka.

Do Nowego Kramska przyjeżdżaliśmy co najmniej raz na miesiąc i to do Banku Ludowego, po nasze pobory. Kierownikiem Banku Ludowego był Feliks Bednarkiewicz, znany, stary działacz, podobny do patriarchy. Gdy był młodszy i zdrowszy był duszą życia polskiego na Babimojszczyźnie. Zmarł nie doczekawszy się wolnej Polski, dla której całe życie przepracował. Córka jego Eleonora pracowała przez 16 lat w Centrali Związku Polaków w Berlinie, za co przez całą wojnę przebywał w obozie koncentracyjnym, skąd wróciła ze zmarnowanym zdrowiem. Mimo to stanęła do pracy na naszych ziemiach zachodnich. Wspomnę jeszcze o zamęczonym w obozie Waclawie Fabisiu, również działaczu tamtejszym. Córka jego Maria, dzisiaj Kwoczkowa – żona działacza na Opolszczyźnie prowadziła kursy gotowania i haftu na naszych terenach.

Wróćmy znów do Dąbrówki.

W październiku 1935 r. zdecydowałam się wyjść za mąż. Wtedy niestety musiałam pożegnać się z pracą nauczycielską, gdyż Niemcy nie zezwalali pracować mężatkom w szkolnictwie polskim. Tak samo zostały skrzywdzone Jadwiga Kalinowska, dzisiejsza Jaroszykowa i Janina Weberowa, żona nauczyciela Mazy. Z końcem grudnia 1935 wróciłam do Dąbrówki. Bramy szkolne były dla mnie mężatki zamknięte.

W tym czasie bywali u nas nauczyciele i inni działacze polscy. Przychodzili robotnicy i rolnicy z prośbami o różne porady o pisanie różnych wniosków. Niemcy to obserwowali i niebawem ukazał się w niemieckiej gazecie artykuł pt. „Ziegenbock im Garten”, w którym wymieniono nazwiska ludzi przebywających u nas i rozpisywano się szeroko o tajnych zebraniach, przez nas organizowanych. Było w tym dużo racji. O czym mieli mówić szykanowani na każdym kroku Polacy, jak nie o sprawach, tyżących się polskości, o naszych prawach i nienawiści do hitleryzmu? Śmiało wypełnialiśmy listę spisową wpisując w rubrykę „Volk-szugehörigkeit” sobie i dziesiątkom innych, którzy się wahali słowo „Pole”.

Tak jak Zakrzewo było ostoją polskości na ziemi złotowskiej, tak była nią w międzyrzeckim Dąbrówka. Nie usłyszano tutaj niemieckiego słowa. Raczej przeciwnie – Niemcy mówili po polsku, jak np. ks. Binder, kowal Ross, ogrodnik Grieser. Dąbrówka była dla hitlerowców solą w oku. Drażniły ich dąbrowieckie piosenki, obyczaje staropolskie, piękne tańce i stroje regionalne, które noszono z dumą.

Prawa Polaków w Niemczech malały z dnia na dzień. Nie wolno było Polakom nabywać ziemi, budować się. Zwalniano ich z lepszych prac. Zamknięto znów gdzieś szkołę. Wstrzymano podręczniki polskie. Władze nie zgodziły się na powołanie dalszych nauczycieli obywatelstwa polskiego. Nie zezwolono na przeprowadzenie planowanej uroczystości, czy zlotu. Za najmniejsze przewinienie karano surowo. Już przed wybuchem wojny wywłaszczono pierwszych Polaków ze wsi, o czym zresztą wspomniałam.

Po wybuchu wojny natychmiast zamknięto szkoły polskie. Na każdym kroku Niemcy ograniczali nasze prawa, ale obowiązki się zwiększały. Wyszło nowe rozporządzenie: każdy obywatel niemiecki do 60, czy 70 lat, nie pamiętam już dokładnie, musiał posiadać „Arbeitsbuch”, w której notowano kwalifikacje, zawód i jego umiejętności. Mój Arbeitsbuch miał następujące adnotacje:

Wysztalcenie zawodowe – rubryka świeci pustką.

Inne kwalifikacje zawodowe – sprzedawczyni (widocznie dlatego, że pomagałam teściowej w sklepie.

Umiejętności rolnicze – kopanie i zniwowanie buraków, dojenie krów.

Specjalne umiejętności – znajomość języka niemieckiego i polskiego, pisanie na maszynie.

Nie wspomniano, że znam język francuski i angielski.

Hitlerowcy nie wstydzili się zabrać nam mężów, braci i synów do swego wojska. Wojsko niemieckie, które szło na Zbąszyń dokuczało niejednemu z mieszkańców Dąbrówki.

Krótko po napadzie na Polskę, 14 września 1939 r. rozpoczęły się masowe aresztowania. O świcie rozległo się w całej wsi szczekanie psów. Hitlerowcy stukali do drzwi i wyprowadzali nieszczęśliwych. Zaaresztowano wtedy: Jana Flejsierowicza, Wojciecha Gołka, Jana Gołka I, Jana Budycha IV, Wojciecha Budycha, Tomasza Seperanta, Wicentego Kleszkę, Teodora Pawelskiego, Marcina Bimka, Pawła Kwaśnego, Franciszka Niemca, Alfonsa Barczewskiego, Marię Świerszczównę, Franciszka Dybowskiego, Jana Muntko, Piotra Matysiaka, Andrzeja Marię, Walentego Berenta, Wicentego Młodystacha, Kaczmarka, Krzyżana i proboszcza Leona Bindera. Z wysiedlonych przednio do Berlina aresztowano, jak już wspomniałam Ludwika Kasprzaka i innych.

* * *

Kiedy wywieziono ze wsi naszych najdzielniejszych, płakaliśmy wspólnie jak wielka rodzina, staraliśmy się o ich powrót. Pisałam wnioski o zwolnienie z więzień, obozów koncentracyjnych do różnych kompetentnych urzędów, nawet do najwyższych instancji.

Pewnego wieczoru stałam przed domem przy płocie ogrodu. Było parno, z zachodu nadciągały ogromne, czarno-granatowe chmury. Nadchodziła ciężka burza. Od strony Zbąszynia nadchodziło dwoje młodych ludzi, dziewczyna i chłopak. Szli bardzo szybko, boso. Zniszczone obuwie zwiślało z ramion na plecy i na piersi. Chłopak dźwigał walizkę, dyszał ciężko. Na piersiach widniał kawałek złotego płótna, a na nim znak „P”. Zatrzymałam ich i poprosiłam, by wstąpili, odpoczęli i poczekali aż burza przejdzie. Obawiali się, aby nie wejść w konflikt z policją, gdyż musieli jeszcze przed zmrokiem dojść do jednej z wiosek blisko Międzyrzecza, w której pracowali oboje w majątku obszarnika niemieckiego. Tego wieczora ogarnęła mnie złość i rozpacz. Złość dlatego, że Polacy wyczuci z wszelkiego prawa muszą się niewinnie tułać po więzieniach, obozach koncentracyjnych, po niemieckich majątkach, harować od rana do wieczora za strawę, której by często pies nie jadł. Rozpacz dlatego, że byłam bezsilna i nie mogłam nic zrobić.

Siadałam i pisałam całą noc, cały dzień, o sytuacji w jakiej znaleźliśmy się, o obowiązkach, o nikłych prawach, niesprawiedliwości i cierpieniach.

Mijały tygodnie i miesiące. Wyczuwałam, że to cisza przed burzą. Komisarz Bürger oprowadzał po gospodarstwach Niemców. Oglądano i nasz domek, spisywano meble, mówiono znów o wysiedleniach.

Wybrałam się do Międzyrzecza do Landrata. Funkcję tę pełnił po dr. Iden, zażartym hitlerowcu, niejaki Daluge, Niemiec, lecz człowiek sprawiedliwy.

Ciekawy traf losu. Na jego biurku zobaczyłam mój list, pisany do władz hitlerowskich do Berlina, trzy miesiące temu. Wiele zdań podkreślono w nim czerwonym i niebieskim ołówkiem. Nawiązałam natychmiast do treści tego listu. Dowiedziałam się, że Landrat miał stwierdzić, czy stosunki przedstawiają się rzeczywiście tak, jak to wyłożyłam w liście. Ze wzruszeniem zapewniał mnie, że starał się wspólnie z Landratem powiatu sulechowskiego sprawę tę załatwić korzystnie dla tutejszych Polaków, niestety, mówił „pociąg już w szalonym pędzie i nie zdołaliśmy go zatrzymać”. Pokazał mi spis tych, którzy w najbliższym czasie mieli być wysiedleni. Pamiętam, że na spisie figurowały nazwiska Tomasza Kociołka, Katarzyny Flejsierowicz oraz Piotra Niemca i nasze nazwisko. Spis ten przesłało gestapo ze Świebodzina. Termin wysiedlenia miano podać telefonicznie. Daluge ubolewał nad naszym losem i mówił, że na fundamencie krzywd i okrucieństw Niemcy istnieć nie mogą. Przewidywał, że wojna jest dla Hitlera przegrana. Opowiadał dalej, jak okropnie przeżywał wieszanie Polaków w Polsce, tuż przy granicy, przy którym musiał być obecny. Żegnał mnie ze łzami w oczach. Podobnie wypowiedział się później przed Stanisławem Budychem.

Po powrocie z Międzyrzecza powiadomiłam natychmiast tych, nad głowami których wisiało nieszczęście. Pamiętam, że Katarzyna Flejsierowicz nie spodziewała się wysiedlenia. Posiadała przecież tylko mizerne pół chatki, któżby się lakomił na tę nędzną sadybę? Nie dowierzała więc moim słowom. Wszyscy powiadomieni mogli się zabezpieczyć, ukrywając lepsze rzeczy i przedmioty u znajomych i krewnych. Wkrótce ich wysiedlono. Nie za długo Daluge został zwolniony z obowiązków Landrata.

* * *

Zimą wstrzymano mi kartki żywnościowe i wezwano do gestapo do Świebodzina. Było to 8 lutego 1943 r. Osadzono mnie w więzieniu w Świebodzinie. Po trzech miesiącach wywieziono mnie do więzienia we Frankfurcie nad Odrą, następnie do więzienia w Berlinie. 22 maja tegoż roku przewieziono mnie do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie pozostałam do końca wojny. W Dąbrówce fala wysiedleń szalała dalej. W trzy tygodnie po moim aresztowaniu wywłaszczono moją rodzinę. W moim domku zamieszkał komisarz Bürger. Tu było mu wygodniej przyjmować interesantów, którzy pragnęli nabyć dąbrowieckie „Erbhöfe”. Wszyscy wywłaszczeni poniewierali się po niemieckich majątkach, rozsianych w Reichu, w więzieniach, w obozach. Tęsknili za rodzinnymi stronami, z sercami pełnymi wiary i nadziei w lepsze jutro.

Dzień i noc myślałam o Dąbrówce, o rodzinie, o dzieciach. Nieraz ogarniała mnie rozpacz. Nawet w obozie koncentracyjnym los nie oszczędził mi przykrych niespodzianek. Nieszczęście prześladowało mnie na każdym kroku. Już w lipcu 1943 r. dostałam wiadomość o śmierci matki. Nie do czekała się biedaczka powrotu jedyne go dziecka. W pół roku później dotknął mnie drugi cios: dzieci leżały śmiertelnie chore w szpitalu. Drżałam o ich życie, rozpacz moja nie znała granic.

W obozie o czwartej rano ryczały syreny. Wszystko trzeba było wykonywać w pośpiechu. Śniadanie – czarna kawa, skibka suchego chleba. Następnie apel, czasem kilkugodzinny. Kobiety mdlały, padały, a potem prowadzono nas do pracy. Maszerowało dwa tysiące kobiet w rzędach po pięć, krokiem wojskowym. Kazali – śpiewać – śpiewaliśmy, choć pierś rozdzierał ból. Niejedno sły chać było westchnienie, niejeden szloch. Miliony łez zrosiły drogę, po której chodziłyśmy. Z lewej jej strony była psiarnia, w niej tresowano psy dla SS-manów, którymi według hitlerowskiej metody kultury szczerzo ludzi. Opodal ponure krematorium, którego kominy kopciły dniem i nocą. Po prawej stronie drogi leżało jezioro. W jesienne i wiosenne poranki unosiły się nad nim opary, jak groźne duchy. Więźniarki wykonywały różne prace w obozie, poza obozem, w lesie, w fabryce Siemens a, w biurach, w kuchni. Za każde przewinienie karali surowo, bili, wsadzali do bunkra, do strafboku. Tego, który przetrzymał ten „uniwersytet hitlerowski”, chyba już nikt w życiu nie zdoła załamać. To była szkoła ponad szkołę. Przeszły ją dziesiątki tysięcy kobiet. Ostatnie numery dochodziły do stu pięćdziesiąt tysięcy. Spotkałam tam znajome, między nimi żonę

kolegi Grota, który kiedyś pracował w Podmoklach Małych, Eleonorę Bednarkiewicz i inne, nie z tych terenów.

Potem nadszedł 14 lipiec 1944 r., najnieszcześniejszy dzień mojego życia. Jak grom spadła na mnie wieść o nagłej śmierci mego męża. Włókłam się, jak śmiertelnie zranione zwierzę. Straciłam to, co najcenniejsze na tym świecie: miłość matki i miłość męża. Życie traciło dla mnie urok. Cóż uczyniłam złego, że spadło na mnie tyle cierpień. Zdawało mi się, że tego nie przeżyję, lecz przed oczyma stanęły mi dzieci. Dla nich muszę przecież żyć.

Czas i praca zagoiły rany, choć pozostały głębokie blizny na całe życie.

* * *

Wreszcie nadeszła dla Polaków i wielu innych narodów wolność. Po uciążliwej podróży wróciłam do Dąbrówki. Bardzo wzruszające było spotkanie z moimi dziećmi. Były przez wiele miesięcy bez ojca i matki – sierotami.

Nadsluchiwały, gdy wymówiłam pieszczotliwie ich imiona. Coś im się przypomniało. Patrzyły na mnie i nagle czworo rączek chwyciło mnie za szyję. Czworo oczu zabłysło radosnym szczęściem. Usta szeptały najdroższe dla dziecka słowo „mamo”. Był to dla nas bardzo szczęśliwy dzień. Dla mnie chyba najszcześniejszy po powrocie z obozu. Miałam przecież dla kogo żyć i pracować.

We wrześniu 1945 roku rozpoczęłam pracę jako nauczycielka w Dąbrówce. Później zatrudniona byłam jako kierownik świetlicy w Dąbrówce, księgowa w Bukowcu, kierownik Wiejskiego Domu Kultury w Nowym Kramsku, nauczycielka w Bukowcu – ostatecznie znów uczę w szkole w Dąbrówce, nadal z zamiłowaniem pracuję społecznie.

Wychowuję już dzieci tych pokoleń, które uczyłam przed wojną, jako młoda, ambitna, ofiarna, rozmiłowana w swym zawodzie nauczycielka. Chociaż zmęczona przeżyciami, troskami i pracą, Chełkowska pracuje z tym samym zamiłowaniem, jak kiedyś młodzianka Pałuczakówna, później Niemcowa.

* * *

Przeminięły lata, lata przeplatane szczęściem i smutkiem, radością i cierpieniem. Nadeszła jesień życia. Dzieci wyfrunęły w świat jak ptaki z gniazda, chociaż często wracają pod rodzinną strzechę. Wieczorem, gdy zmrok zapada, gdy wicher gwizdzie i huczy, kiedy deszcz bije o szyby, myślę o minionych czasach – o męce, jaką niesie ludzom wojna. Wtedy rodzi się we mnie bunt, przeciw znów odradzającym się w Niemczech zachodnich tendencjom wojennym. Wszystko powinniśmy uczynić, co w na-

szej mocy, by zapobiec szaleńczym planom rewizjonistów, by raz na zawsze przekreślić ich zamierzenia. Idzie gra o wielką stawkę, o przyszłość naszych dzieci, o spokój i szczęście narodów.

DOKUMENTY

Prezydent Rejencji
I A O 5. ol Nr 5/30.5

Frankfurt nad Odrą, dnia 13 maja 1942

Do

**Pani Franciszki Kociolek
w Dąbrówce Wielkopolskiej
ulica Główna 25**

W załączeniu przesyłam odpis zarządzenia, którym na mocy ustawy o konfiskacie mienia wrogiego dla narodu i państwa, skonfiskowałem Wasze całe ruchome i nieruchomości na rzecz Rzeszy Niemieckiej. Konfiskata uprawomocnia się w stosunku do Was z dostarczeniem niniejszego pisma, a w stosunku do Waszego męża przez ogłoszenie w Niemieckim Państwowym Dzienniku Rzeszy i Prus. Przeciw temu zarządzeniu nie przysługują środki prawne. Wskutek tego, musicie się powstrzymać od dalszego rozporządzania wszystkimi przedmiotami, znajdującymi się dotąd w Waszym posiadaniu.

W zastępstwie
podpisał: Kothe

Uwierzytelnił
Fahrentholz
urzędnik kancelarii rejencji

Pieczęć okrągła

Zarządzenie konfiskaty

Na podstawie ustawy o konfiskacie mienia wrogiego dla narodu i państwa z dnia 14. 7. 1939 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 479) łącznie z dekretem Führera i kanclerza Rzeszy z dn. 29. 5. 1941 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 303) konfiskuje się niniejszym ruchome i nieruchomości rolnika Tomasza Kociołka, urodzonego dnia 15. 12. 1900 roku w Dąbrówce Wielkopolskiej, na razie niewiadomego miejsca pobytu oraz jego żony Franciszki z domu Golek, ur. 18. 8. 1903 r. w Dąbrówce Wielkopolskiej, zamieszkałej tamże, ul. Główna 25, na rzecz Rzeszy Niemieckiej, jako używane lub przeznaczone do popierania dążeń, które uważać należy według dochodzeń Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy jako szkodliwe dla narodu i Rzeszy.

Frankfurt nad Odrą, dnia 13 maja 1942 r.

Prezydent Rejencji
w zastępstwie
Kothe

IJA 0 5. ol Nr 5 30.5

Starosta
powiatu międzyrzeckiego
L. dz. L. I. 905/42

Międzyrzecz, dnia 24 czerwca 1942 r.

Pieczeń okrągła

Do

Pani Franciszki Kociołek
w Dąbrowce Wielkopolskiej
ul. Główna 25

Na mocy udzielonego mi pełnomocnictwa w myśl § 1 ustawy o zabezpieczeniu granic Rzeszy i o środkach odwetowych z dnia 9. 3. 1937 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 281) łącznie z §§ 1 i 4 zarządzenia Prezydenta Rzeszy w sprawie ochrony narodu i państwa z dnia 28. 2. 1933 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 83) zakazuję Wam i Waszym małoletnim dzieciom: Janinie, Józefowi, Stanisławowi i Kajetanowi dalszego zamieszkiwania i pobytu na terenie granicznym i na włączonych terenach wschodnich, określonych w § 11 pierwszego zarządzenia wykonawczego do ustawy o zabezpieczeniu granic Rzeszy i o środkach odwetowych w ujęciu zarządzenia o zmianie z dnia 27. 2. 1939 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 356). Musicie opuścić z dziećmi wspomniany teren graniczny w ciągu 8 dni, licząc od dnia doręczenia niniejszego zarządzenia. W wypadku nie wykonania tego zarządzenia lub wykonania go w innym czasie, mogą być wdrożone przymusowe kroki policyjne, ponadto podlegać będziecie karze.

Przeciw temu zarządzeniu dopuszczalne jest zażalenie do Pana Prezydenta Rejencji we Frankfurcie nad Odrą w ciągu 14 dni, licząc od dnia dostarczenia, które należy złożyć u mnie. Zażalenie nie ma mocy odraczającej.

podpis nieczytelny
W zastępstwie

Starosta
powiatu międzyrzeckiego
L. dz. A 203/41 g

Międzyrzecz, dnia 17 lipca 1941

Do

Pana Tomasza Kociołka
Miejsce pobytu nieznanne

Na mocy udzielonego mi pełnomocnictwa w myśl § 1 ustawy o zabezpieczeniu granicy Rzeszy i o środkach odwetowych z 9 marca 1937 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 281) łącznie z §§ 1 i 4 zarządzenia Prezydenta Rzeszy w sprawie ochrony narodu i państwa z dnia 18 lutego 1933 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 83) zabroniłem Wam dalszego miesz-

Wspomnienia

kania i pobytu na terenie granicznym, określonym w § 11 pierwszego zarządzenia wykonawczego do ustawy o zabezpieczeniu granicy Rzeszy i o środkach odwetowych w ujęciu zarządzenia o zmianie z dn. 27 lutego 1939 (Dziennik Ustaw Rzeszy I, str. 356).

Wydalenie z granic uzupełniam jak następuje:

Wydalenie z granic rozciąga się na włączone tereny wschodnie.

Podpis nieczytelny

Odpis

Kosieczyn, dnia 29 stycznia 1943

Obwodowy Komisarz Policji

L. dz. 239/A 3

Do

**Posterunku Policji Państwowej
w Świebodziźnie**

Dot: wdowy Anny Pawelskiej i córki Marianny w Dąbrówce Wielkopolskiej.

Gdy dn. 26. 6. 1942 ustalona została szkodliwość zmarłego rolnika Teodora Pawelskiego z Dąbrówki Wielkopolskiej dla państwa i narodu, zarządził Pan Prezydent Rejencji we Frankfurcie nad Odrą dnia 23. 10. 1942 konfiskatę mienia rodziny Pawelskich a pan starosta wydał zarządzenie z dnia 29. 10. 1942 r. o wydaleniu z granic. Wdowa Anna Pawelska, z domu Budyh, urodzona dnia 18. 7. 1895 odmówiła przyjęcia odnośnego zarządzenia, tak, że zarządzenie to dn. 3. 11. 42 zostało jej doręczone przez pozostawienie w mieszkaniu. Oświadczyła mi ona następnie, że nie wiedziała, gdzie miała wywędrować. Zaleciłam, jej aby się skontaktowała z Urzędem Pracy we Frankfurcie nad Odrą, gdzie przydzielą jej odpowiednie miejsce pracy. Jeżeli już przez odmowę przyjęcia zarządzenia o wywłaszczeniu i wydaleniu z granic – dowiodła, że zamierza robić trudności, to stało się to oczywistym, gdy 20. 11. doniesiono jej, że może otrzymać pracę w zarządzie majątku w Lossow pod Frankfurtem nad Odrą, lecz ona odmówiła przyjęcia tego miejsca. Podała, że jako 50-letnia kobieta (ma dopiero 47 lat) nie może więcej pracować. Dalej podała, że nie może się wyprowadzić bez pomocy swego syna, służącego jeszcze w wojsku. Syn miał być ranny (postrzał w głowę) i znajduje się w kompanii zdrowotnej w Gorzowie. Dalej syn Wojciech został następnie przeniesiony do Berlina i dnia 12 bm. zwolniony. Od tego czasu znajduje się tenże również w Dąbrówce Wielkopolskiej. O jego wydalenie z granic wniosłem do pana starosty.

Powiedziałem następnie kobiecie, że nie rozchodzi mi się o to, aby wyprowadziła się natychmiast z Dąbrówki Wielkopolskiej, ma jednak w każdym razie zniknąć z Dąbrówki Wlkp. Wyznaczyłem jej wtedy stanowczo ostateczny termin na dzień 21. 12. 42 w którym miała opuścić gospodarstwo w Dąbrówce Wlkp. Ponieważ także i tego wezwania nie wykonała, eksmitowałem ją dnia 22. 12. z jej mieszkania pod przymusem policyjnym. Pawelska wyjechała wtedy ze swoją córką Marianną, która również twierdziła, że nie może wykonywać żadnej pracy z powodu swej choroby ręki, najpierw do Bukowa do Wojciecha Budyha, również wydalonego z granic, a następnie powróciła przed kilku dniami do Dąbrówki Wlkp. Syn Wojciech przybył wówczas, dnia 25 lub 26 l. do mnie i sta-

rał się uzyskać dalszą zwłokę dla swej matki. Wtedy odpowiedziałem synowi, że daję matce ostatni termin do czwartku dn. 28. I. Jeżeli tego terminu nie dotrzyma, wtedy każe ją aresztować i odesłać do obozu koncentracyjnego, jak to już jej często groziłem. Na to przyrzekł syn, że spowoduje aby matka natychmiast opuściła Dąbrówkę Wlkp. Dziś przyniosła pani Pawelska załączone pismo Urzędu Pracy z Frankfurtu nad Odrą, że na razie nie może być zatrudniona w miejscu pracy. To zaświadczenie podpisane jest przez dr Dołeczek lub podobnie. Dotychczasowe zachowanie się wdowy Pawelskiej i jej córki Marianny świadczy, że opierają się one swemu wydaleniu z granicy i dlatego proszę o podjęcie przeciwko nim kroków przez policję państwową, gdyż istniejące w mej dyspozycji środki przymusu i kary pieniężne – nie prowadzą do celu. Dziś kazałem obie aresztować i przekażę je dnia 30. I do sądu powiatowego w Swiebodzinie do waszej dyspozycji. Małoletni i również wysiedlony z granic syn Stanisław, urodzony dn. 13. 11. 29 znajduje się u swej ciotki, wdowy Pałki w Dąbrówce Wlkp. ul. Mała i chodzi jeszcze do szkoły. O pobycie obu kobiet proszę mnie zawiadomić abym mógł później usunąć również syna Stanisława.

podpisano: Hagemann

Obwodowy Komisarz Policji
L. dz. 3172/42

Kosieczyn, dn. 22 grudnia 1942 r.

Do
Punktu Ziemskiego
do rąk pana radcy policji w stanie spoczynku
w Zbąszynku

Dot.: eksmisji wydalonej z granic i wywłaszczonej wdowy Anny Pawelskiej i jej małoletnich dzieci: Marianny i Stanisława w Dąbrówce Wielkopolskiej.

Ponieważ wdowa Pawelska wzbraniała się opuścić skonfiskowaną posesję w Dąbrówce Wielkopolskiej, bez udziału swego syna, służącego wówczas w wojsku, eksmitowałem dziś ją i jej dzieci z mieszkania przy współudziale naczelnika żandarmerii Becka i przewodnika chłopstwa Bemma. Jeszcze w dniu poprzednim zagroziłem jej przymusowym wydaleniem z mieszkania, ale nie zauważono żadnych przygotowań, aby rodzina miała pakować swój nieliczny dobytek, który mogła nieść. Dałem rodzinie pół godziny czasu na opuszczenie domu, lecz trwało to prawie całą godzinę. Pani Pawelska oświadczyła, że jest niezdolna do pracy i nie może się wyprowadzać do Lossow na wyznaczone jej miejsce pracy. Zagroziłem jej, że będzie umieszczona w obozie koncentracyjnym, jeżeli niezwłocznie, tj. do jutra południa, nie opuści Dąbrówki Wielkopolskiej.

Rodzina udała się prawdopodobnie najpierw do siostry pani Pawelskiej, wdowy Pałki w Dąbrówce Wielkopolskiej. Po usunięciu wezwałem tę siostrę do siebie i doradziłem jej, aby skłoniła siostrę do udania się do Lossow i zabrania w kilku dniach swoich mebli, pościeli itp. Widocznie moje zarządzenia pomogły, gdyż pani Pałka przybyła do mnie jeszcze raz, aby się dowiedzieć, czy pani Pawelska może się wpierv udać sama do Lossow, aby postarać się o mieszkanie. Na to odpowiedziałem, że nie mogę już

Wspomnienia

znieść, aby pozostała dłużej ze swoją córką w Dąbrówce Wielkopolskiej. Gdyby 12-letni Stanisław jeszcze kilka dni pozostał u ciotki w Dąbrówce Wielkopolskiej, nie będę przeciw temu występował.

Przy spisie pozostałości, który w załączeniu przekazuję, stwierdzono, że od czasu sporządzenia inwentury przez policję państwową sprzedano lub zabito następującą trzodę: 2 krowy, 2 warchlaki, 4 kaczki, 3 gęsi, 2 świnie, 2 owce, 9 królików i wszystkie 20 kur. Dom został zamknięty a klucze oddane na przechowanie do biura gminnego. Ponieważ jednak stajni itp. nie można zamknąć, należy niezwłocznie asadzić ludzi na posesji.

Hegemann

Starosta Powiatu Międzyrzeckiego

Międzyrzecz, dnia 3. 10. 1942

**Do
Pana Komisarza Obwodowego
w Kosieczynie**

ODPIS

Prezydent Rejencji
J. A. Om 501

Frankfurt nad Odrą, dn. 28 września 1942 r.

**Do
Panów Starostów w Międzyrzeczu itd.**

Dot.: przeprowadzenia konfiskaty mienia Polaków – obywateli Rzeszy.

Potwierdzając wywody mojego decernenta na sesjach w dn. 15 i 16 bm. z panami starostami w Sulechowie i Międzyrzeczu przy udziale kierownika Punktu Ziemskiego w Berlinie, wskazuję na następujące zasady przy przeprowadzaniu konfiskaty mienia mniejszości polskiej.

1. 1. Postępowanie przeciw wybitnym przywódcom i innym szczególnie aktywnym członkom polskiej mniejszości usprawiedliwiają się już z samych względów narodowo-politycznych, hańbiącym traktowaniem Volksdeutschów w Polsce tak przed wojną jak i podczas wojny.

2. Niemniej ważnym jest szczególnie bezpośrednio umacnianie niemieckiego stanu posiadania przez wywłaszczenie polskiego właściciela właśnie w zagrożonych gminach granicznych z wciąż jeszcze przeważającą ludnością polską.

3. Ponieważ wielokrotnie chodzi o dobre i duże dziedziczne zagrody, będące w polskich rękach a posiadacze niemieccy mają jedynie gorsze i niewystarczające wyżywienie z roli, przeniesienie posiadania polskiego w ręce niemieckie oznacza także z czysto gospodarczego stanowiska ważne oczyszczenie stanu posiadania w myśl znanego prawa o posiadłościach chłopskich.

4. Ponieważ do wywłaszczenia przewidziany jest obecnie tylko mały zakres o 46 wypadkach (później ok. 200) musi tym szybciej nastąpić ich przeprowadzenie. W tych wypadkach wybicie się przodującej warstwy ma pokazać pozostałej mniejszości stanowczość

Wielkiej Rzeszy Niemieckiej w stwarzaniu na tych terenach pogranicznych niemieckich zagród chłopskich. Przy szybkim przeprowadzeniu należy oczekiwać, że inni skłonią się do sprzedaży z wolnej ręki, co umożliwi wówczas dalsze pożądane usunięcie złych warunków posiadania niemieckich chłopów.

II. Z tych rozeznajd wynika, że akcję musi się przeprowadzić aż do osadzenia nowego niemieckiego kandydata włącznie, z właściwym pośpiechem i naciskiem – zwłaszcza, iż chodzi o zarządzenia polityczno-policyjne, o ile ich cel nie ma stać się iluzorycznym. Od strony polityczno-policyjnej, kompetentni są starostowie zwłaszcza dla doręczenia mej decyzji o konfiskacie i dla wykonania nakazu opuszczenia terenu przygranicznego o Urząd Ziemski dla użytkowania nieruchomości i innego mienia. Jeżeli w interesie przyspieszenia załatwienia oraz w celu uniknięcia zbędnej korespondencji, dopuściłem swego czasu do bezpośredniej korespondencji pomiędzy Urzędem Ziemskim i Obwodowymi Komisarzami, to mimo to rozumie się, że Starostowie, jako najniższa odpowiedzialna władza administracyjna, powinni nie tylko być informowani na bieżąco, ale i sami winni pod każdym względem aktywnie popierać w każdym poszczególnym wypadku w czynnościach tak Urząd Ziemski jak i Policję Państwową. Należy do tego zwłaszcza współdziałać w wyborze ubiegającego się.

III. Co się tyczy traktowania wojskowych z kół polskiej mniejszości, to zagadnienie to nie może być żadnym hamulcem, ponieważ zostało ono wyraźnie i wyczerpująco uregulowane przez oba znane tajne dekrety OKW i RMdl./OKW – Oberkommando der Wehrmacht – Główne Dowództwo Sił Zbrojnych, RMdl – Reichsministerium des Innen – (Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy – przypisek tłumacza). Poza tym powołuję się na moje specjalne zarządzenie, wydane przed kilku dniami.

IV. Do sprawy o następstwach najnowszego dekretu Führera z dnia 28 lipca 1942 r. o uwarunkowanym przez wojnę ograniczeniu załatwiania spraw dotyczących obrotu posesjami podaję pod uwagę w zatwierdzeniu wywodów mojego decernenta co następuje: Według dekretu Führera należy w pierwszym rzędzie po prostu wstrzymać zmianę posiadania obojętną w normalnych warunkach. Natomiast przy działaniu prawnym, już w/w I 1 – 4 ze szczególnych względów należy pozytywnie popierać różnego rodzaju publiczne zadania, a poza tym doprowadzać jeszcze do pozytywnego wyniku najważniejszą zasadę narodowo-polityczną – umacnianie niemieckości w polskich gminach mniejszościowych. Tylko wówczas odmowa zatwierdzenia będzie usprawiedliwiona, jeżeli konkretne kandydatury miałyby dotyczyć w pojedynczych wypadkach żołnierzy frontowych. Zwracam uwagę także na rozprawę „Obrót wiejskimi posesjami w nowych ramach”, wydrukowaną „Recht des Reichsnährstands” z sierpnia 1942 zeszyt 16 str. 433.

V. Jest samo przez się zrozumiałe, że przy przeprowadzaniu wszystkich kroków przeciw polskiej mniejszości musi występować stała i szczególnie ścisła współpraca z placówkami Tajnej Policji Państwowej we wszystkich instancjach. Szczególnie już przy pierwszym wyborze kandydata należy w stosownym czasie włączyć Komisarza Obwodowego względnie Starostę obok powiatowej placówki chłopstwa także Policję Państwową, wydział zewnętrzny – Świebodzin, przez udzielenie personaliów i dotychczasowych miejsc zamieszkania kandydatów. Spowoduje ona później konieczne dane przy badaniu kandydatów przez placówki Tajnej Policji Państwowej we Frakfurcie nad Odrą według jej bliższych wskazówek. Jeżeli jeden lub więcej ubiegających się będzie przedstawionych jako konkretni kandydaci Urzędowi Ziemskiemu do formalnego zatwierdzenia, musi w każdym wypadku wynikać z akt stanowisko Policji Państwowej. To postępowanie zostało uzgodnione pomiędzy mną a placówką Tajnej Policji Państwowej we Frakfurcie nad

Odra i gwarantuje szybki i konieczny współdział Policji Państwowej przy wstępnym badaniu kandydata.

VI. O współdziałaniu władz finansowych Rzeszy wydany został podstawowy dekret pana ministra finansów Rzeszy z dnia 9. 4. br. (Dziennik Ministerialny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy i Prus – str. 687). Aby przy bieżących pojedynczych wypadkach możliwie jak najszybciej bez wielkiej pisaniny zadośćuczynić wymaganiom zawartym pod liczbą II ust. 1 i 2, proszę starostów, aby z możliwym pośpiechem ustalali, czy i jakie przedmioty mienia z natury rzeczy mogą służyć wykonaniu zadań terenowym ciałom samorządowym (powiat, gmina, prowincja) lub zadaniom narodowo-socjalistycznym niemieckiej partii pracy i jej komórkom wzgl. pokrewnym organizacjom celem przekazania im do stosownego załatwienia. Ponieważ z reguły chodzi tu o posesje użytku rolniczego, zatem ze strony instytucji publicznych nie będzie istniało prawdopodobnie w żadnym wypadku roszczenie do posesji. Doniesienie starostów winno nastąpić oddzielnie dla każdego pojedynczego wypadku możliwie szybko, przede wszystkim w sprawach już bieżących. Z mojej strony przekażę wymagane informacje Panu Nadprezydentowi Finansów.

VII. Przy traktowaniu wypadków konfiskaty zwracam uwagę, że dla uniknięcia błędzenia spraw, należy podawać na przyszłość stale w każdym przypadku jako tytuł relacji lub zarządzenia – nazwisko, imię, miejsce zamieszkania danego osobnika przy podaniu bieżącego numeru wykazu z dn. 25. 3. 1942 a poza tym należy się powołać na zarządzenie i znak akt moich lub innych władz.

Przesyłam odpis do łaskawej wiadomości z polecenia podpisał Haupt
pieczęć służbowa

podpisano: Refardt

Uwierzytelnione
podpisał: podpis urzędnik państwowy